Nr. 21. Listopad. 1862.





# DWUTYGODNIK LITERACKI.

Wychodzi w Krakowie w połowie i na końcu każdego miesiąca w objętości najmniéj 2ch arkuszy—do których raz w miesiąc dodają się tablice z krojami, wzorkami i deseniami. Prenumerata w miejscu kwartalnie 1 zł. 50 cen. w. a., półrocznie 3 zła.— rocznie 6 zła.— Dla prowincyi z przesyłką pocztową: kwartalnie 2 zła.— półrocznie 4 zła.— rocznie 8 zła.—W królestwie pruskiem z przesełką pocztową: kwartalnie 1 Tal.,—półrocznie 2 Tal.,—rocznie 4 Talary.— Prenumerować można w **Redakcyi** w Krakowie przy ulicy Szerokiej pod L. 486 Isze piętro — w **Ekspedycyi** dziennika „**Czas**" i w księgarni **Grzybowskiego.**— Miejscowi odbierać mogą **Wieniec** w Ekspedycyi „Czasu."— **Listy niefrankowane nie przyjmują się.**


## O cierpieniach

przez

**Ludwikę z Myślenic.**

Smutny podobnoś wybrałam przedmiot do mej rozprawy? — ależ godło *Wieniec* pozwala mi to, bo w wieniec wplatając choćby same róże, goździki, fijołki, przecież w nich niegdzie i kolce znajdziesz. A potem pismo to przeznaczone szczególnie płci naszej;— a komuż i dla kogoż więcej do twarzy prawić o cierpieniach jak niewiastom?

Nie wnoszę ja tu znów, aby i mężczyźni nie mieli cierpieć,— nie— oni tak dobrze stąpają po tej pełnej cierniów drodze życia jak i my, i oni są częstokroć od natury udarowani równie czułem sercem, jakiem jest nasze;— ale my już wyłącznie z woli samego Boga od pierwszej naszej matki jesteśmy na większe bóle, na większe cierpkości przeznaczone.

Dla tego pisząc o cierpieniach, nie myślę podawać wam drogie siostry środków do ominięcia ich wszystkich; nie— to nie w naszej mocy—ale właśnie chciałabym niejako ułatwić wam znoszenie ich o ile to być może, mężnie i cierpliwie.— A powinnabym zaprawdę być daleko posunięta w tej szkole, którą zowią szkołę nieszczęść, cierpień; bo zaręczam, że przeszłam od *a* aż do *z* wszystkie jej klasy. Powinnabym przeto, mówię, być doskonałym mentorem w tej nauce, — w tej wielkiej sztuce cierpień *w wytrwaniu.* Ależ mamże was miłe czytelniczki prowadzić w niej od samego abecadła?.. Nie — bo wiem, że serca wasze już mniej więcej obeznały się z niektóremi bólami i cierpieniami, które są nieuchronne w życiu niewieściem,— a potem ja tylko chciałabym niejako ulżyć wam radą jak cierpieć;— chciałabym pomódz do niesienia tego krzyża, który chcąc niechcąc, każda z nas nieść musi.

Otóż najpierw zaręczam wam miłe czytelniczki, że cierpienie każde, choćby i największe, zależy jednakże wiele od sposobu znoszenia go.—I tak: weźmy przykład z fizycznych przedmiotów: Niesie przypuśćmy dwie, zupełnie jednakiej siły osoby, dwa podobnież jednakie ciężary; jedna atoli z tych osób przykrzy sobie pod tym ciężarem, — chce go rzucić —odpoczywa, ustaje;—gdy druga przeciwnie, widząc, że musi go donieść do mety, — idzie spokojnie pod swym ciężarem, zdąża prędzej do celu, i czuje się mniej zmęczoną, bo się mniej zżymała. — Toż samo dzieje się z cierpieniami ludzkiemi: im bardziej niecierpliwiemy się, gniewamy, chcemy je koniecznie zrzucić z siebie, tem dotkliwsze zdają nam się, tem cięższej ten krzyż

nam przeznaczony gniecie barki nasze, a nie mogąc go rzucić, słabsze i zmordowane, dochodzimy do mety.— Mamy drugi tego przykład w bólach, i cierpieniach fizycznych.— Czyliż nie podwajamy naszej jakowej boleści ciała przez niecierpliwe przenoszenie się z miejsca na miejsce, przez lament, krzyk, niecierpliwość?..... gdy przeciwnie, ile razy powiemy sobie przy jakiej boleści, że chcemy ją znieść bez dania znaku na zewnątrz samego bólu, tem boleść zdaje nam się lekszą i łacniej ustaje. To samo ma się do cierpień moralnych— tylko męztwo i cierpliwość pokonywuje je.

Lecz w wielu, wielu cierpieniach naszych, jest jedno, które najcięższe jest do zniesienia; a to: cierpienie, któreśmy sobie sami na się ściągnęli.— O! takie boli najsilniej, i takie istotnie jest najtrudniejsze do zniesienia. Musiż, bo musi cierpienie sprowadzone przez samych siebie być okropne, nieznośne — skoro religia nasza stawia nam obraz takich cierpień, w potępionych w przyszłem życiu, to jest wyrzut wieczny, że sami sprowadzili sobie to, co obecnie cierpią.—I w istocie, o ile pomnę, cierpienia podobnego rodzaju były mi najtrudniejsze do znoszenia.

Ale i tu serce kobiety, przejęte całe wiarą świętą i rezygnacyą, powinno czerpać pociechę i poddać się zupełnie woli Boga, myślą: snać i to złe zakierowanie mych dążeń, było wolą nieba; było próbą, aby na drugi raz być oględniejszą, doskonalszą; — i dlaczegóż jeszcze mym upadkiem w cierpieniu mam powiększać winę moją? niech ono raczej będzie jakby expiacyą.— Drugie cierpienie, które osobliwie nam niewiastom zdaje się być równie przykrem i bolesnem, jest to zawiedzenie naszego serca.

A przecież powinnybyśmy kobiety być nader obeznane z tym bólem;—jest to bowiem ból, który niemal każdą z nas mniej więcej dotknie. Dla tego i temu cierpieniu stawmy mężnie czoło, i nie upadajmy pod niem o tyle, abyśmy tracili ufność w ludziach, i abyśmy przez zawiedzenie malały na duchu. — Nie, zawód na ludziach to ludzkim udziałem; bo my ludzie, nie anioły,— trudno więc wymarzywszy w naszej wyobraźni, w naszem sercu anioła, chcielibyśmy go niejako namacalnie mieć na ziemi. Trudno mówię, dla tego zawód taki niech wielką goryczą nie napawa duszy naszej; niech ją nie osłabia w doskonaleniu się; — pomyślmy, że ten, kto nas zawiódł, jest człowiek— równie słaby jak i my.— A i my może zawiodły nie jednę już istotę?

Doskonałym jest jeno Bóg— na Nim niech polegnie serce nasze, a nie zawiedziem się z pewnością.

Dla tego, gdy nas ludzie zawiodą, nie gniewajmy się na nich, nie przestańmy ich kochać; miłość niech gorycz serca zastąpi, a pociechę czerpajmy w Tym, który nas nigdy nie zawiedzie.

Po tych dwóch cierpieniach, stawiam cierpienia pochodzące z utraty i z rozłączenia drogich nam osób.

Nie dziwić się mili czytelnicy i czytelniczki, że stawiam wyżej zawód niż utratę osoby;— bo już to nasze serce niewieście jest takie, że woli opłakiwać śmierć, rozłączenie;—ach! jest to okropne, straszne! co za ból utracić istotę, do której całe nasze życie, nasze myśli, nasze uczucie było przywiązane? O! straszny zaiste! ale czyż i tu nie potrzeba nam tej wytrwałości, co w znoszeniu bólów fizycznych?

Bo na cóż zda nam się, choćbyśmy w żalu o mur głową tłukli, gdy mur nie ugnie się przed nami?—Jeżeli osoba stracona, wydarta jest przez śmierć, cóż nam pomogą wszystkie żale, narzekania?.. Już dawni z przed Chrystusowych czasów filozofowie, umieli stawiać mężnie opór żalowi i rozpaczy po osobach zmarłych,— a my, my chrześcianki, my co wiemy, że w wieczności zejdziem się kiedyś wszyscy, że rozłączenie nasze jest chwilowe,— miałybyśmy być słabsze od poganów?— nie—bo zacierałybyśmy tem piętno naszej boskiej wiary, złączonej z miłością, nadzieją. My więc chrześcianki, a do tego my Polki, cierpienia pochodzące z utraty osób, mężnie znosić powinnyśmy.

Dalej stawiam w rzędzie cierpień, utratę sprawiedliwą-li lub nie — naszej sławy, naszego dobrego imienia. O zaiste, dla niewiasty utrata sławy, dobrego imienia,— jest wielkim, jest strasznym ciosem! — zdałoby się na pierwszy rzut naszego uczucia, że jest nie do przeżycia! — Jednakże chrześcian lub chrześcianka tego pomyśleć nie może; bo oni jeno na swojem sumieniu polegać powinni — i więcej na podobaniu się Bogu niż ludziom.

Dlatego jeżeli serce nasze, sumienie nasze jest czyste, a oszczerstwo rzuca na nas potwarze, — z wesołem, wypogodzonem obliczem występujmy w pośród ludzi, którzy nas czernią; i jedna kropla goryczy nie powinna zagoryczyć duszy naszej; bo *prawda* jest tak silna i potężna, że jeszcze ją dotąd nikt nie zwalczył; — a więc *prawda* musi wyjść na wierzch, a z nią i nasza niewinność.— Jezeli zaś w głębi naszego przekonania czujemy, że zasłużyliśmy i przyczyniliśmy się do utraty naszego dobrego imienia, niech miasto smutku, pokora w sercu i w obliczu naszem zajmie miejsce; a będzie to expiacya, po której już nie ból, nie smutek,— ale pociechę uczujem. (D. n.)

## Z Poznańskiego.

Wyszła u K. Żupańskiego milutka książeczka, którą polecamy wszystkim miłującym piosenki rodzinnej poezyi ludowej: one kwiatki lube a wonne, wyrosłe na dnie serca pod rosą łez— albo też w chwili szczęśniejszej przy słonecznym uśmiechu.

*Piosnki wiejskie* dla ochronek, z przygrywką Teofila Lenartowicza, z godłem:

Dzieciństwo sielskie — wiejskie.
A. Mickiewicz.

Oby rozpowszechniły się szeroko!— A posłuchajcie jak to nasz pieśniarz serdeczny tym piosnkom przygrywa, przemawiając *do braci Wielkopolan, Mazurów, Krakowiaków i wszelkiego narodu:*

Śpiewać dla was, rzecz nielada
Kto jedwabne słówka składa,
Kto nie dzieli z wami doli,
Nie zaśpiewa sercu k'woli.

Nacobym miał suszyć głowę
Na piosenki wiejskie nowe,
Przynoszę wam pieśni stare,
Ale takie rześkie, jare,
Że słuchając, jak we wiośnie
Dusza gdyby ziele rośnie,
I świat jej się w oczach złoci,
Aż się cała rozochoci.
Serce żywo zakołata,
I duch, jakby ptaszek lata,
I człek mówi sam do siebie:
Jeszcze Pan Bóg jest na niebie!
. . . . . . . . . . . . . . . . .

A potem kończy zwrotką:

„Śpiewaj ludu polski, złoty,
Wypowiadaj twe tęsknoty,
U orania, u zasiewu —
Póty serca, póki śpiewu!"

O śpiewaj ludu polski, rzewno— żałośnie— a po Bogu i z wiarą! Skowronki tę nutę po wszech-świecie rozniosą— a Bóg Ojciec posłyszy ją w niebie.

Na dokończenie zamieszczam na chybi-trafi dwa kwiateczki z tego sielskiego wianka:

Jest w gaiku
Drożyna,
Nad drożyną
Kalina
Ze zwieszoną
Gałązką
Nad drużyną,
Nad wązką.

Tam dziewuszka
Szła mała,
Tę gałązkę
Złamała,
I z liściami,
I z kwiaty,
Niesie sobie
Do chaty.

W chacie siędzie
Za stołem,
Stawi gałąź
Przed czołem
I co w główce
Zaświta,
To szczebioce
I pyta:

Wywróżcie mi
Matuchno,
Czy ja też tak
Ładniuchno, —
Jak Kalinka
Na wiosnę,
Tak śliczniuchno
Wyrosnę?

— Oj wyrośniesz
Ty dziecię,
Jeżli Pan Bóg
Da życie,
Wyrośniesz mi
Dziewczynka,
Jak ta w lesie
Kalinka.

Ale jak mnie
Nie będzie,
Wnet ci krasy
Ubędzie,
Wnet opadnie,
Jak wieniec,
Z twego lica
Rumieniec.

---

Wzeszła gwiazda nad kościołkiem,
Pod kościołkiem rosa, —
I sierotka na grób matki
Co noc przyszła bosa.

Na kalinach śpiące ptaszki
Kwileniem budziła,
Tłukła główką — włosy rwała —
Długo nie pożyła.

Między bluszczem i barwinkiem,
Ostem i pokrzywą,
Kopacz znalazł na tym grobie
Sierotkę nieżywą.
Po trzech dniach ją pochowali
W dołku pod kościołem;
Ale szkoda — pochowali,
Nie przy matce społem.

Grób matczynin przy kościółku
Był po stronie jednej;
A po drugiej za kościołkiem
Grób sierotki biednej.

Tam na grobie, na matczynym
Lipka wyrastała,
A sierotce zkądsiś brzozka
Sama się zasiała.

I choć matka ze sierotką
Nie leżały społem,
Wszelako się lipa z brzózką
Zrosły nad kościołem.

# BIAŁA FIGURA

przez

**Krystynę L.**

(Ciąg dalszy.)

Biedne to chłopie zmarniałoby ze szczętem, gdyby wiosna swój bieg zatrzymała. Postaci wątłej, smukłej jak latorość topolki. Włosy gęste, czarne, spadały mu na wyniosłe czoło, rzęsy długie, ciemne, przysłaniały blask czarnych oczu trochę w dół zapadłych, pełnych wyrazu i życia, niekiedy jednakże smutkiem załzawione — twarz bladą miał pociągłą. Z piersi jego dobrze zbudowanej dobywał się tłumiony oddech. Jemu trzeba było szerokiego pola, jasnego nieba, aby płuca wciągały silnie powietrze. W ciężkiej atmosferze, zimowej dymiącej piekarni, więdnął jak kwiat w cieniu porzucony.

Lecz gdy na św. Wojciech, matka okadziwszy święconemi wiankami bydełko i święconą skropiła wodą, on zaś duszą poczuł wiosnę, a z nią swobodę; — wyobraźnia jego rozwijała skrzydła jak ptak do lotu i cała postać nabierała życia.

Wyszedłszy raz z domu, zabrał cichaczem kawałki drzewa i ostry nożyk ojca — i usiadłszy na zwykłem swem miejscu, zaczął coś strugać i obrabiać. Ale niezadowolniony widać z swej roboty, rzucał ją— gniewał się, to płakał—i znów się do niej zabierał.

Od tej chwili już nie dumał, ale wciąż strugając zajęty był pilnie, rzuciwszy tylko okiem niekiedy na bydełko czy się nie rozchodzi na szkody. Na noc zaś chował swą pracę do szczelin pomiędzy kamienie podnóża Białej Figury.

Naprzeciwko zagrody Błażeja mieszkał kmieć Wojciech podeszłego już wieku wdowiec, który ożenił się przed kilku laty z pokojówką pani Zdzisławowej. Pobłogosławił Pan Bóg ich związek jedną córką. Mała Halcia chodziła często do Błażejowej, a w zimie i w święta bawiła się zawsze z Jasiem, lubo o 7 lat od niej starszym.

Dziewczynka była nad wiek swój rozwiniętą. Matka jej bowiem wychowana we dworze, gdzie pani Zdzisławowa sama ją uczyła czytać historyi świętej i wiele rzeczy w sposobie opowiadania i rozmowy. Wojciechowa nabyte dawniej wiadomości, chciała przelać teraz w swe ukochane dziecko z jakimś pośpiechem gorączkowym, jakby przeczuwała niedaleki koniec swego żywota.

Dziewczynka pojętna chwytała każde słowo matki, i własnym rozumkiem dorabiala więcej jeszcze w swej głowince.

Te dwoje dzieci pokrewne sobie duchowo; polubiły się serdecznie; zwłaszcza, kiedy się już mogli pojmować i zrozumieć nawzajem. Halci było smutno bez Jasia, kiedy ten z wiosną wygnał bydło w pole. Że zaś była roztropną matka, pozwoliła jej pójść za nim dla zabawy. Spostrzegłszy Jasia zajętego jakąś robotą, umyśliła go podejść. Obszedłszy pole w około, stanęła nad nim niepostrzeżona— on zaś był tak zatopiony w swej pracy, że go zaledwie zbudził wykrzyk dziewczynki „Jasiu! to Biała Figura!?“

Zerwał się nagle chłopiec — bo mu dotąd nikt nigdy ciszy nie przerwał, nie był oswojony z mową ludzką w tej stronie.

Kiedy się przekonał, że to miluchna Halcia tak go wystraszyła, ucieszył się podwójnie; raz jej przybyciem, a powtóre, że poznała w nieforemnych kształtach wizerunek *Białej Figury*. Było mu to nagrodą za tyle wysileń, tyle pracy, które mu się zdawało, że napróżno podejmuje; — zwątpił już prawie, aby tyloletnie marzenia swoje mógł ziścić. Dziewczynka jednym wykrzyknikiem naraz, odżywiła wszystkie jego gorące nadzieje i chęci, wlała nową siłę w duszę.

Usiedli więc oboje na zielonej murawie; Jaś uszczęśliwiony sam się nie pojmował,— a Halcia gdyby jaka znawczyni, oglądała, przychwalając wszystkie jego pozaczynane roboty. Przyszedłszy jednak do siebie, uląkł się myśli, że Halcia go może zdradzić i będą mu w domu urągać— lecz gdy je powierzył dziewczynce, zapowiadając: że jej nigdy nic nie powierzy, jak komukolwiek o nim słowo wypowie. Dziewcze się rozpłakało, i zarzuciwszy drobne rączki około jego szyi, przyrzekło, że milczeć będzie, byle jej pozwolił tylko bawić się koło siebie.

Dzieci te, dnie prawie całe razem spędzały. — Matka znając Jasia, nie broniła Halci z nim przebywać, zwłaszcza że wracała do domu jeszcze potulniejsza, usluchliwsza i do nauki sposobniejsza.

Wojciechowa dając Halci podwieczorek, nie zapomniała i o Jasiu— zawsze chleb smaczny z serem lub masłem wydzielała dla niego; bo najczęściej z domu nie miał i czarnego suchego kawałka.

Halcia przynosiła także elementarz i gałganki do szycia, pokazywała Jasiowi jak ją matka uczyła, powtarzając z niesłychaną w takiem dziecku pamięcią każde słowo od niej zasłyszane. Jaś mówił jej o Bogu, Matce Boskiej, świętych pańskich, i co kiedy posłyszał jak mu się udało iść do kościoła na kazanie. Każda myśl wpajała się w duszę jego i rozwijała pojęcie. Wiele bardzo dorabiał a raczej domyślał się własnem objęciem i poczuciem. — Usłyszane słowo prawdy, było iskrą rozpromieniającą jego pracę wewnętrzną.

Jaś żył z Bogiem jak człowiek pierwotny; nie znał dokładnie zasad religijnych, ale każdą myśl, każden czyn do Niego odnosił. Wybiegi światowe nie skrzywiły prostej linii łączącej go z Bogiem; w prostocie swojej nie pojmował innego złego na świecie nad to, że go w domu łajano i nie lubiono, w czem on przypisywał winę sobie— prosząc Boga aby się mógł poprawić.

W główce Halci różne się także myśli kręciły, o których objaśnienie razwraz Jasia zapytywała; ten z prostotą a jasnością pojęcia najzawilsze rozwięzywał zapytania, bo opuszczone to chłopię dojrzewało w dumaniach.

Jakże ciężko było Jasiowi z takiego życia duchowego zejść na ziemię— nikt go nie rozumiał, ani pojmował, prócz Halki; w domu był uważany za głupiego i mazgaja — ojciec czuł wprawdzie instynktem zacność i wyższość w tem dziecku swojem, ale nie umiał go ochronić ani nic z niego wydobyć — pieszczotą tylko potajemną słodził mu smutną dolę.

Jednego ranka Halka przyszła zapłakana, bo matka jej bardzo w nocy zachorowała. Jaś smucąc się sam, pocieszał dziewczynkę, zalecając, aby wróciła do domu na jej usługi.

---

Nauczycielką i przyjaciołką dawną pani Zdzisławowej, która od urodzenia Olesi mieszkała u niej, była niezmiernie zacna i światła osoba panna Pelagia, która lubiła bardzo tę dawną pokojową, matkę Halki— gdy więc jej doniesiono o jej chorobie, pospieszyła ją odwiedzić, niosąc jej oraz lekarstwa. Za powrotem do domu nie mogła się dosyć naopowiadać państwu Zdzisławom o córce Wojciechowej, która jej od jakiegoś czasu zniknęła z oczu, a teraz ją znalazła tak milutką, roztropną przy chorej matce, że jej nie mogła zejść z myśli, i ciągle o niej mówiła.

Choroba Wojciechowej coraz się wzmagała; doktor miejscowy odwiedzał ją parę razy dziennie, lecz nie robił żadnej nadziei wyzdrowienia mimo wszelkich starań, gdyż puchlina zbliżała się już do serca.

Poczciwa panna Pelagia widząc blizki koniec biednej kobiety, rozmyśliwała nad małą sierotką, której niepodobna było przy staruszku ojcu samej pozostawić, a która ją coraz więcej do siebie pociągała. Halcia była śliczną dziewczynką — włosów jasnych, twarzy świeżej, ale nie do opisania pociągający miała wyraz w oczach, niby istotne dwa fijołki — taka tam wonna i czysta jaśniała dusza.

Panna Pelagia nabiedziwszy się długo z swemi myślami, poszła wreszcie do pani Zdzisławowej z prośbą, aby po śmierci matki, Halcię można wziąść do dworu, a ona się nią opiekować będzie. Pani Zdzisławowa miłosierna i dobra nie dała jej prawie dokończyć; tym pomysłem ucieszona, który i w jej podobnież powstał głowie, słysząc więc z takiem zajęciem opowiadającą o tej małej dziewczynce pannę Pelagię— tem więcej była zadowoloną; bo pragnęła właśnie jakiej towarzyszki do zabaw dla Olesi. Skoro zaś Halka, lubo wiejska dziewczyna, tak moralnie była wychowaną — mogła dozwolić jej bez obawy w chwilach do zabaw przeznaczonych przestawać z Olesią.

Panna Pelagia uszczęśliwiona, pobiegła do Wojciechowej— i niestety! zastała ją już w ostatniej prawie życia godzinie, ale zupełnie przytomną.— Biedna kobieta przyjęła tę wiadomość ze łzami wdzięczności; — lecz znając sama dobrze ludzi dworskich, zaklinała pannę Pelagię, aby nie zmarnowali dziewczęcia— bo ma jak mówiła to przekonanie, że jeżeli ją Bóg uchowa, to będzie z niej zacna i poczciwa dziewczyna.

Panna Pelagia przyrzekła umierającej, że nad Helcią sama czuwać będzie, i nie dopuści nigdy, żeby jej ktobądź najmniejszą wyrządził krzywdę.

A skoro się i ojciec zgodził na oddanie jej do dworu, poblogosławili oboje dziecię i oddali w ręce panny Pelagii.

Halcia płakała rzewnie, żal jej było matki, żal było domu opuszczać — ona była tak szczęśliwą, pieszczoną, kochaną od rodziców, — trzeba było odstąpić zabaw z Jasiem na to wspomnienie -jęknęło dziewczę i żałośnie łkając, wymówiło słowo pożegnania, wypadłszy szybko z izby. — Matka uśmiechnęła się słabo, domyślając się, co się tam dzieje w tem małem serduszku; na zapytanie zaś panny Pelagii, z kim się Halcia poszła pożegnać, odpowiedziała z ostatniem już prawie wysileniem: że jeżeli Bóg nawet po za grobem jej prośby wysłucha, to kiedyś Halcię z Jasiem Błażejów połączy, i jej prosi usilnie, aby o tym pamiętała i do tego Halci dopomogła.

Kiedy dziewczynka wróciła do izby, panna Pelagia modliła się już nad konającą Wojciechową, opatrzoną od kilku dni Św. Sakramentami. — Naschodziło się wiele ludzi ze wsi, bo ją wszyscy kochali, żałując, że tak wcześnie Bóg ją już zabiera.

Panna Pelagia uniosła prawie rozżalone dziecko do siebie, i nie mogła jej długo uspokoić,—w kilka dopiero godzin była w stanie wprowadzić ją do państwa Zdzisławów. Halcia znała państwa; bo czasem z matką przychodziła do dworu. Skłoniwszy im się do kolan, tłumiąc płacz w sobie, ledwie wymówić mogła słowa: „biedna ja sierota.“

Tyle było niewinnego i naturalnego wdzięku w tej dziewczynce, że zaraz sobie wszystkich ujęła, a nawet rozrzewniła — dziękując za swoje w dom przyjęcie. Pani Zdzisławowa gładziła śliczne jej włosy, pocieszając, że ją lubić będą i matkę zastąpią. Pan Zdzisław zadał jej kilka pytań i zdumiał się trafną odpowiedzią dziewczynki.

Panna Pelagia uradowana dobrem wrażeniem, jakie zrobiła na wstępie Halcia, zaprowadziła ją do swego pokoju i wróciła do państwa Zdzisławów, których zastała jeszcze mówiących o Halci.

Pan Zdzisław radził, aby w niej nie zacierać wiejskiego pochodzenia — nie przebierać odrazu w suknie, aby nie straciła prostoty i naiwności, która w niej ma tyle powabu — nie stawiać jej na fałszywem stanowisku, lecz pozostawić nateraz jak jest— dopóki się nie okaże, co się z czasem z niej wyrobi.

Halcia na drugi dzień poszła odwiedzić i pomodlić się nad ciałem matki— później i na pogrzeb, gdzie się z Jasiem zobaczyła. Tu popłakali się oboje rzewnie, po stracie poczciwej wspólnej swej matki, jakby oboje zostali po niej sierotami.

Smutno teraz było i Jasiowi— nikt mu już samotności nie ożywiał szczebiotaniem, nie miał kto odgadywać w niekształtnej figurze z drzewa świętego z kościoła, nad czem sobie Halcia nieraz dobrze głowy nałamała— gdy zaś odgadła szczęśliwie, była znów radość ztąd wielka obojga. Teraz Jaś lepił z gliny różne przedmioty— przyszła mu ta myśl, widząc raz jak garncarz garnki ulepiał; — ale mu już robota nie szła tak ochoczo, jak kiedy widział naprzeciw siebie dziewcze z wlepionymi w siebie oczyma— tęsknił za nią w każdej chwili, widział, że mu już na zawsze odebrana— że o nim we dworze zapomni.

Panna Pelagia korzystając z rad pana Zdzisława, nie zmieniała ani stroju, ani obyczajów Halci — zbytek tylko był w świeżości zawsze jej ubrania. — Siedziała i sypiała w jej pokoju, bo wziąwszy Halkę na swoję opiekę, nie pozwalała przebywać w garderobie; gdzie niekiedy znajdują się służące niepowściągliwe w mowie, nagannych obyczajów, niesumienne w robocie, lękała się kalać tego młodego i czystego serca dosłyszanem słowem i złym przykładem, chciała ją uchronić od zepsucia, jak to konającej matce przyrzekła.

Kiedy Halcia już odtęskniła trochę za domem, i przyzwyczaiła się do nowego życia, widząc w niej niezwykłe zdolności i przymioty panna Pelagia, wytchnęła sobie plan jej nauk i wychowania.

Dla Olesi trochę rozpieszczonej, impetycznej i kapryśnej, była to jedyna towarzyszka. — Olesia z początku przy zabawie spoglądała na nią z góry i poczęła rozkazywać—ale Halcia tak ją zawsze umiała pokonać swym rozumem prostym, że zawstydzała jej dumę i niewoliła do innego z nią obchodzenia. Jednego prawie wieku, Halcia daleko więcej była rozwiniętą duchowo, moralnie, a nawet umysłowo. W Olesi nie brak było zdolności i najlepszych przymiotów — ale te dogadzaniem, pieszczotą tkliwą cierpiącej matki stłumione w niej były. Halka rozsądkiem zdrowym, silnem pojęciem prawdy, budziła ciągle tę naturę dobrą ale uśpioną.

Kiedy dziewczęta razu jednego bawiły się w przyległym pokoju, a Olesia przez nieuwagę stłukła wielkie lustro, prosiła Halci, aby nie mówiła o tem nikomu— a będą myśleć rodzice że to stłukł służący. Oburzyła się na taki fałsz Halcia i odpowiedziała jej ostro: „Panienko, Matka Boska patrzy i ukarze za nieprawdę, a służący może cierpieć niesprawiedliwie,— tak się nie godzi-—trzeba śś mamę przeprosić.“

Państwo Zdzisławowie stojąc niepostrzeżeni za otwartym oknem, byli świadkami naocznemi tej sceny— zauważali oni już dawniej wpływ, jaki to dziewcze niby proste na ich Olesię wywiera. Wypadek ten jednak posłużył im do otwartego wystąpienia przed panną Pelagią, prosząc jej, aby

Halcia się zarówno chowała z Olesią, bez żadnej różnicy w obchodzeniu.

Panna Pelagia oparła się temu silnie, choć i ją ta myśl nęciła.—Ale nacóż było dziewczynie, która nie miała nigdy zająć stanowiska równego pannie z pierwszej rodziny krociowego majątku, przyzwyczajć się do wygód - życia, towarzystwa, edukacyi, do świata w ogóle, w którym żyć nie miała a z którego wyżyn zejść tak ciężko, tak później niepodobna.

Biorąc dziewcze wiejskie, choćby najładniejsze i najzdolniejsze, trzeba naprzód obmyśleć jej przyszłość, aby nie zrobić z niej nieszczęśliwej istoty, jak się to najczęściej zdarza— któremi się bawią w salonie, a później wydają za mąż bez jej przekonania serca i niestósownie do wychowania, uspokoiwszy sumienie małym posagiem a sutą wyprawą.

Nikt nie pomyśli, ile taka biedna istota cierpi, nie mogąc znaleźć punktu oparcia; bo nikt z otaczających nie rozumie jej, nie pojmuje, zacząwszy od męża, od którego cała jej przeszłość ją dzieli. Pod innemi warunkami wychowując się—w innym kierunku kształciły się ich umysły.

Ile to trzeba łez, wysileń, aby przyjść do równowagi— zatrzeć prawie w sobie te delikatne odcienia uczuć wychowania starannego. Nagiąć swój umysł nawykły do pracy karmiącej duszę serce, do zajęć drobnych, poziomych, małego zwykle gospodarstwa, wejść w koło zupełnie innego towarzystwa, niżli to, w którym się młodość przeżyło. Trzeba nakoniec oberwać listki z korony kwiatów swych marzeń, i stać się jednem słowem: *prozaiczną kobietą*.

*(D. c. n.)*

---

## Korespondencya
## TOMASZA ZANA.

---

### XXIV.

(Dokończenie.)

Wraz ze śniegiem przeniosłem się z czynnością moją do Witepska. Z powodu wielu zajęć nie chciano mię wypuścić na święta do Berezówki, gdzie byłem oczekiwany przez pannę Brygidę. Jużem stosownie do tego był posłał list oznajmujący o niemożności dopełnienia danej tam mojej obietnicy. Przemógł atoli cud jej modlitwy: właśnie w tej chwili, kiedy miała się zajmować czytaniem odebranego listu, sam się jej zjawiłem na kucyę. Więc nabożeństwo, śpiewanie i te wszystkie wzruszenia, w których każdy przedmiot i najdrobniejsza okoliczność przemawia głębiej i wyraźniej, niżli wszelki ton i słowo. Już ci i wiadomo, że gdzie się nie pokażę, ogarniony jestem od dzieci i panien oznakami niewymownej przychylności i życzliwości, i sam się na nie wylewam. W całem tem zebranem licznem na święta towarzystwie, grającą i śpiewającą duszą była p. Brygida. Na piąty dzień rozstając się w Dołkinowie u ks. Lwowicza, czułem się samemu sobie zostawionym tułaczem, nie mogłem się powstrzymać od łez, pomyślawszy, że będę dzień nowego roku przepędzać w śnieżnem bezdrożu i błędnem;— nie wypadało mi jechać dalej, gdyż byłem incognito, jako w czas świąt w powiecie graniczącym z Leplem. Pokrzepiałem się modlitwą i wspomnieniem czasów wileńskich u ks. Lwowicza przez dwa dni, w które przybył Mieczysław z listem sztafetą z Kamieńca Podolskiego, wysłanym w dzień św. Tomasza apostoła od Adolfa Dobrowolskiego, który dla mnie ustępuje między majątkami ks. Sanguszki, które sprzedawa Mieczysławowi i wielu innym, folwark Kochaczyn ze 125 dusz, po 80 rubli za duszę, z których 60 rubli w banku bierze a 20 dopłaty, której chce czekać 4, 6, a wreszcie czas nieograniczony bez procentu. Takim sposobem w dzień św. Tomasza biskupa z tułacza uczułem się wraz w możności stania się obywatelem białoruskim mohylewskiej gubernii, litewskiego powiatu, którego patronem jest św. Fortunat. Czekam przeto waszej w tem rady. Propozycya ta nie strąca w niczem służby obecnej, której miejsce i przedmioty z nią się dobrze łączą. Kochaczyn odległy od Witepska o wiorst 60. Mógłbym jak i dotąd utrzymywać się z pensyi, widoki moje wiadome o urządzeniu włościan i rolniczych majątków stósować rzeczywiście i czynnie na swojej ziemi; służyć, karmić i oświecać 125 chrześcian; ostatkami dochodu spłacać bank, póki siły starczą, ażeby Bóg pozwolił majątek ten urządzony i czysty zostawić dziedzicom serca i imienia mojego. Czuję, że będę powinien przy tym składzie okoliczności odezwać się do p. Świętorzeckiej o jej córkę w tej roli, w jakiej przed kilku laty z niemi w zobowiązanie się i przywiązanie wszedłem. Nie cale jestem pewny, jaki tego może być koniec ostateczny, gdyż ten jest raczej w zrządzeniu Opatrzności niezbadanej. P. Świętorzecka posiadając znaczne majątki tylko po matce, zwlekaniem postanowienia córek usiłuje obezpieczać bogactwo synów, na których mi osobne skupuje majątki. Kupiła dla Mieczysława Boratycze i Żalin; teraz nabywając dla niego znowu po ks. Sanguszce Janów i Konstantów, użyje zapewne posag córek, dla których nie będzie miała co dać w gotowiźnie. — Wreszcie wiedz i to, że

jeżlibym pozostał jak dziś jestem, nie uważałbym się też nieszczęśliwym.

1 luty 1846.

Fryczyński wręcz mi oświadczył, że w teraźniejszym tłumie i stanie okoliczności, nie przyjąłby nawet w darze majątku na Białej Rusi, nie mając wprzódy zapewnionego zasobu do przekarmienia włościan do nowego zbioru i coś pieniędzy na przypadek nowego nieurodzaju. „Wieleście nasiali a małoście nazbierali. Jedliście a czujecie się głodni, odziewaliście się, zagrzać się wam niepodobna, zbieraliście zyski a znikły jako położone w worek dziurawy. Dlatego mówi Pan Zastępów: „Obłokom zakazałem, aby nie spuszczały rosy i ziemia aby nie dawała urodzaju swego.“ Ale Pan Mohuczy przysłał mi warunki, na jakich mogę wejść w układy o Kochaczyn: 1) Za każdą popisową duszę zapłacić tylko r. s. 70; w tej ilości 60 do banku być dłużnym, a 10 opłacać co rok aż do 1859 roku. 2) Zapas żywności włościańskiej ma być zapełniony przed kupnem. 3) Toż rządowe wszystkie opłaty powinny być zaspokojone po dzień objęcia. 4) Ile można bydła i narzędzi rolniczych zostawić w majątku, jako zupełnie niezagospodarowanym. 5) Pretensye, jakie ma przedawca do włościan za rozmaite należnoście i zapomogi, nie uzyskiwać i darować na pamiątkę przejścia do nowego właściciela. Wydatki prawa i papierów herbowych przyjąć powinien p. Dobrowolski, jeżeli nie całe, to połowę. 6) Szczegółowe opisanie stanu włościan i ich inwentarz, jakoteż dworny sporządzić uprzednio, przed zawarciem umowy. Na tych tylko warunkach mógłbym się odważyć korzystać z łaskawej propozycyi p. Dobrowolskiej, znając stan obecny włości i majątków białoruskich. Szczerze zaś mówiąc, to i te, które na siebie przyjmuję, zaledwie wystarczają na moję możność tylko przy teraźniejszej służbie, z której mając 80 rs., mogę oszczędzić na wydatki Kochaczyna zaledwie połowę.

---

## XXV.

DO BRYGIDY ŚWIĘTORZECKIEJ.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Marya Najśw. Panna.— 1846 r. czerwca 17 dnia.

Piszę do was we dworze, zwanym przedtem Lepel, a potem Zabołocie, dziś majątek skarbowy do mojej lustracyi należący, gdzie mam mieć bez Jana i pojazdu główne stanowisko aż do czasu przejazdu waszego tędy, do którego tak już od dawna serce moje wyskakuje. Przed Bożem Ciałem byłem powołany z Kochaczyna przez umyślnego posłańca do Sienna, gdziem się spotkał z nieprzepłaconym Dobrowolskim, gdzieśmy pod opieką św. Fortunata przyznali prawo zaprzedażne i pełnomocnictwo do posiadania i władania tym majątkiem, zawierającym ziemi z lasem i łąką do 60 włók i dusz płci męzkiej 125. Prawo to i pełnomocnictwo ma mi służyć aż do czasu, nim opiekuńcza rada w Petersburgu nie zezwoli na podział majątku Lenkiewicza po księciu Sanguszce ustanowiony teraz przez jego pełnomocnika Dobrowolskiego, o co do niej weszliśmy z prośbą, po rozstrzygnieniu której ten ostatni wyda nam prawo kupcze i ostatecznie do posiadłości i ziedzictwa wprowadzi; co nie później ma nastąpić jak około św. Jerzego w roku następnym 1847. Byli tam sąsiedzi moi nowi nabywcy, brat twój Mieczysław Swiętorzecki, Rogowscy, Tomaszewiczowie, Oświecimski, Majewski. — Dobrowolski przewodniczył w kwaterze, ja na nabożeństwie, gdzie co dzień natenczas bywały procesye, msza śpiewana, nieszpory, i dni ładne choć chłodnawe. P. Dobrowolski zwyciężył mię i pokonał w uprzejmości, w okazywaniu ku mnie nadzwyczajnych względów, tak, iż cały tydzień równie łatwego jak miłego z nim towarzystwa, musiałem trzymać się na ostrożności i trwać w oniemieniu, iżby wyjawieniem jakich mnie właściwych i osobistych pomysłów i życzeń, nie wzruszać go do przedsięwzięć z moją korzyścią a własną ujmą jego. Zdawał się mieć sobie za przyjemność uprzedzać każdą myśl i życzenia moje i mnie zobowięzywać. W dzień św. Barnaby mieliśmy nabożeństwo zakupione przed św. Fortunatem, lecz odprawowane przed św. Antonim dla tego, iż to był dzień kończącej się nowenny, o powodzenie obecnych układów i zamiarów.

Poleg jąc na prawdzie i mocy twej pobożności, śmiało zwierzam się natchnieniom i przedsięwzięciom duszy mojej, i spodziewam się, że Opatrzność błogosławić będzie ich powodzeniu, gdy się mierzyć będziemy własną piędzią, czynić sami co możemy, i drugim też wolność i wzgląd zostawując, wcale się nie dziwiąc ani trapiąc, że każdy dąży i czyni podług siebie, a sam tylko Bóg tym zamiarom i czynom mocen nadać skutki i owoce potrzebne, użyteczne, błogosławione. Z Sienna po obiedzie u prezydenta Komorowskiego, udaliśmy się każdy inną drogą do Konstantowa. W domku już wspomnionym umieszczone są relikwie śś. Fortunata, Felicyana, Wiktora i Krescencyusza i śliczny obraz rodziny świętej; fortepiano, przy którem Mieczysław i Dobrowolski do pozna śpiewali; ten ostatni pełen jest muzyki włoskiej klasycznej i głos ma przyjemny, środkujący między czystym tenorem i basem. Wyraz wzruszeń moich wewnątrz wyłuszczający się z pośród tych różnych

wrażeń obecnych, pamiątek i widoków przyszłości, przy was zaszczepionych i rozwijających, obudzał jego ciekawość.—Nazajutrz byliśmy w Janowie, odkrywaliśmy nowemu gospodarzowi zródło żywej wody gojącej i żywiącej: a był to dzień podług kalendarza rzymskiego poświęcony czci ś. Jana Chrzciciela. Dobrowolski i tu wysilał się ująć mojego szwagra Matusewicza i siostrę przywabić różnemi darowiznami sprzętów i szczątków spiżarni i apteczki pani Dobrowolskiej i skutek otrzymał zupełny. Mnie się ztąd dostał obrazek św. Marcyanny i lampa. Rad byłem, że się mu upodobała moja buda i latawce, które mu wraz za pierwszem oświadczeniem ustąpiłem.— W dzień św. Antoniego pan Dobrowolski spotkał mię w Kochaczynie z bochenem chleba i pudem soli. Zapewne drudzy będą ci opisywać wzruszenia i wzajemne rozmowy nasze, dla których prawdę mówiąc, nie bardzo są gotowe wyrazy. Zewnętrzne nawet znaki dziękczynienia Bogu nie ośmieliłem się czynić, aby czego ich nieudolnością nie odjąć wspaniałości opatrznego miłosierdzia bożego. Sam tylko był czynnym i uprzedzającym duch mój i ubożuchna istność tuliła się ku Tobie. Wielkie to jest zarozumienie, brać na siebie obietnice i obowiązek wdzięczności, gdyż tylko sam Bóg mocen i obie zostawił przez swe posłańce wynagradzać dobrodziejstwa, jako i karać złodziejstwa. Dopłatka po 300 rubli przez lat ośm, jeżeli Bóg da możność, zaczynać się ma od 1849 r., tymczasem takaż ilość ma wpływać do skarbu Kochaczyńskiego z służby mojej na wzmocnienie obezsilonej siły roboczej i sposobów roboty i przemysłu, dla wypłaty corocznie górą 470 rubli do banku przez lat 37. Tymczasem byłem szczęśliwy uczynić mu dar jedyny na jaki w mojem ubóstwie zdobyć się mógłem, a tym był: srebrny złoty Świętorzeckiej Brygidy ceny 125 dusz, który należy się córkom Wandzie i Jadwidze Dobrowolskim, podany ich ojcowi Adolfowi w Kochaczynie 1846, czerwca 7 dnia przez Tomasza Zana, na znak, że sam Bóg opatrzny.

## XXVI.

DO ADOLFA DOBROWOLSKIEGO.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Marya Najśw. Panna.—1846— z Witepska.

Chwała bądź Bogu na wysokości, a na ziemi uradowanie i pokój ludziom dobrej woli. Spółczująca ich łaska z Ukrainy i Podola, nastręcza sposoby a wspaniałość przewiduje dobrodziejstwa, któreby pielgrzymkę moję ustawić mogły w jaśniej wielmożnych warunkach służby i pracy, która dotąd ociera chłodne i mroczne kąty Rozsiei, a ustawić w czasie i miejscu najpożądańszem sercu, najdogodniejszem umysłowi i dążeniom moim obecnym. Propozycya powołująca do usługi w Odessie i do poświęcenia się włości w mohylewskiej stronie, wysłana ze sztafetą z Kamieńca w dzień św. Tomasza apostoła, dogoniła mię na schyłku ubiegłego roku, także w dzień mojego świętego imiennika, już wśród śnieżnej zamieci w samotnej podróży napowrót na Białoruś, w rzewnem ogarnieniu chmur nieprzejrzanych, wkrótce pożegnaniu rodziny Świętorzeckich, w której gronie obchodziłem Boże Narodzenie w Baczówce krainie, zkąd w zasmuconem milczeniu i westchnieniach niebu tylko zrozumiałych, dołączają się rzeczki, unosząc łzy swe do Wilii, Dźwiny, Berezyny. Trzeba wiedzieć, że moję budę, równie ukochaną jak ubogą, ciągnie gąsiorem trójka chudaków, dla tego z nadzwyczajną rzeźwością i pędem, iż zawsze sobie roi utulenie pragnień gościnnych na popasie, osłodzenie goryczy popasowych na noclegu, poprawienie głodu i niepokojów noclegowych następną spodziewanką nazajutrz. Natchnienia i oświadczenia Dobrowolskich i w każdej po osobna, i w obu propozycyach, w których czułem niesłychaną gotowość i szczodrobliwość do wspomożenia i zobowiązywania mojego korzystnego, przyjemnego, stanowczego i rychłego bezwarunkowo, objęły mię pocieszeniem i wdzięcznością; w gorliwości i świetle niezwykłych uczuć, powziąłem na rok nowy wróżby najmilejsze: że ma być początkiem wieku, w którym osoby i rodziny będą już otwarcie, zupełnie i szczerze chrześciańskiemi, dobrowolskiemi; że i ja między niemi za łaską i pomocą bożą, ze zrządzenia Opatrzności, ujrzeć się mogę w stanie, zostać panem wyboru służby i poświęcenia się własnego i przypodobanego, gościudarem w majątku a obywatelem mohylewskim, a to wraz z tułacza i bez utraty przywilejów i korzyści rajcy, któremi się szczycę i utrzymuję obecnie. Projekt kupna Kochaczyna uważam za anielskie nastręczenie ztąd, że przez nie dostała mi się śliczna i miła powinność, mnie i narzeczonej rajczyni, wyżywić 125 dusz, opatrzyć je w potrzebne środki robocze, obznajomić z miłosierną sprawiedliwością i mądrą dobrocią Opatrzności bożej.

## MISTYFIKACYA

sceny z życia studenckiego.

(Dokończenie.)

W kilka dni po owych przechadzkach na Piaskowej górze, w jednej z kamienic Sykstuskiej

ulicy na 2em piętrze, w kawalerskiem mieszkaniu składającem się z dwu niewielkich ale dosyć wygodnie urządzonych pokoi, pod oknem wychodzącem na dziedziniec, siedziała za małym stoliczkiem znana nam już poczęści piękna i tajemnicza towarzyszka Alfreda, z głową podpartą na ręce, dumająca — przed nią leżała zaczęta robótka haft kołnierzyka na batyście, bawełna, małe angielskie nożyczki i srebrny naparstek — hafciarka jednak czem innem zdawała się w tej chwili być zajęta, i jakby zniecierpliwiona wyczekiwaniem, to spoglądała w okno, to znów ku drzwiom, natężając ucho czy kto nie idzie. — Po chwili zasztukano do drzwi — i Alfred z miną strudzoną lecz przytem lekką i wesołą wbiegł do pokoju i rzucił się na krzesło.

— No i cóż, powiodło ci się?.. zapytała ciekawie, przybyciem jego uradowana towarzyszka.

— Wszystko poszło pomyślnie, odrzekł młodzieniec podmuskując młody wąsik — zdałem szczęśliwie; — pan Dudziński uwierzywszy w opowiadaną o tobie historyę, której zdawał się nawet słuchać z ukrytem rozrzewnieniem, to z radością na przemiany, przyrzekł poprawić świadectwo — zawsze jednak będzie wprzód chciał, jak sądzę, przekonać się o rzetelnej prawdzie opowiadania mego...

— Trzeba nam się zatem mieć na baczności i być w pogotowiu (rzekła figlarnie młoda towarzyszka, której nadamy imie Aliksy) — bo to choć dziwak, ale człowiek poczciwy i dbały o dobro swych uczniów.

— Obok tego, panna Aliksa wpadła mu w oczko i w serce jak się zdaje — odrzekł Alfred, udając zazdrosnego.

— No, ciotka list przyjęła i tylko wyglądać odpowiedzi lub jej samej.

— Punkt o godzinie piątej, przybędą koledzy obchodzić z nami święto mej dojrzałości po szczęśliwie złożonym a raczej poprawionym egzaminie.

— Brawo! więc dzień dzisiejszy zakończym wesoło, w gronie dobranych przyjaciół — ale trzeba iść zamówić coś na ich przyjęcie...

— Już pomyślałem i o tem — pącz damski i ciasta...

Tu zasztukano znowu do drzwi — Alfred poskoczył z cicha do drugiego pokoju, i rzuciwszy się jak długi na sofę, nakrył się z głową płaszczem tak, że tylko wierzch czupryny widno było z pod niego i począł stękać ciężko i boleśnie.

Aliksa zbliżyła się do drzwi, i cienkim głosikiem zapytała: „kto tam“?..

— Czy tu jest mieszkanie pana Alfreda Indygowicza? odpowiedział głos chrapliwy z tamtej strony.

— Tak jest — odrzekła panna Aliksa — wpuszczając podeszłą kobietę, która zdziwiona spotkaniem tam młodej osoby, skinąwszy jej lekko głową, rzekła z powagą, oglądając się po pokoju: „przychodzę od panny Teresy W., która jest bardzo niespokojna o panicza — i przysełа mnie, ażeby się przekonać, czy choroba jego jest doprawdy tak ciężka i niebezpieczna, jak jej doniesiono?

— O tak, tak, bardzo jest chory biedny pan Alfred, a przytem tak opuszczony, że gdybym gwałtem dziś rano nie była sprowadziła lekarza, jużby może ponim było.. tu płacząc, zasłoniła oczy ręką i poprowadziła kobietę do łoża chorego, zalecając jej spokojność jak największą, żeby nie przebudzić chorego.

Starowina odłożyła ostrożnie kołnierz od płaszcza i pochyliwszy głowę nad oblicze chorego, rzekła po chwili z powagą eskulapa: a to jakaś ciężka choroba — oddech przytłumiony, w piersiach mu chrapi... hm... trza było krew puścić.

— Już, już puszczali mu krew — stawiali bańki i pijawki — czuła panna Teresa już podobnoś na tej ziemi z nim się więcej nie zobaczy!..

— Właśnie że się tu wybiera, odwiedzić chorego, odrzekła z cicha stara sługa — i chce mu być pomocną — dodała, licząc niby na dłoni pieniądze; nawet płakała potajemnie, gdy list czytała od panicza...ale jaradziłabym, szepnęła w końcu starowina do ucha Aliksie — żeby ona tu panienki nie zastała, trzeba się wynieść nim ona nadejdzie.

— Wynieść się! a któż biedaka opuszczonego pielęgnować będzie?.. już ja jej nie będę lazła w oczy, bo wiem, że mnie cierpieć nie może — ale nie mówcie proszę, żeście mnie tu zastali... i przy tych słowach panna Aliksa ściskając rękę żegnającej ją staruszki, wcisnęła jej nieznaczne złotówkę — a w tem zasztukano do drzwi po raz trzeci — i jednocześnie z wychodzącą sługą, wszedł do pokoju pan konsyliarz-emeryt w wysokim na pół łokcia cylindrze na głowie, zapytując wraz donośnym i poważnym głosem, podobnym do wywoływania woźnego: Czy tu mieszka pan Alfred Indygowicz, student 8ej klasy gimnazyalnej i kandy.... tu ujrzawszy nagle twarz w twarz stojącą przed nim tajemniczą czarodziejkę, zerwał swój cylinder z głowy i tając mimowolne swe pomięszanie, wyjąkał niby miny nie tracąc koniec przerwanej procedury: dy.. dydat, do egzaminu dojrzałości?..

— Tak — to jest jego mieszkanie — odpowiedziała smętnie panna Aliksa, spuszczając w dół oczy?..

— A cóż porabia w niem piękna pani?.. i to sama?.. rzekł z miną kawalerską i czułym uśmiechem, zbliżając się do Aliksy.

Ona cofnąwszy się w tył o dwa kroki, odpowiedziała z godnością: jestem jego siostrą—i w tej chwili pilnuję chorego brata.

— Siostrą?. i pilnujesz pani chorego brata — nie słyszałem o tem, żeby pan Indygowicz miał mieć siostrę— ani o tem, że chory...

— Że jest chory, masz pan dowód, rzekła z jedną zawsze postawą, wskazując przez drzwi otwarte do drugiego pokoju, gdzie w głębi na sofie leżał Alfred — teraz zasnął właśnie, dodała, przykładając palec do ust na znak ostrzeżenia, żeby go nie zbudził głośnem mówieniem.

— A!.. rzekł konsyliarz-emeryt z udanem przerażeniem, spoglądając z daleka na śpiącego—tak widzę że chory— ale jakiż dowód, że pani jesteś siostrą jego?

— Sądzę, że słowa moje są dostatecznym dowodem, a dalej nie widzę powodu sprawiania się przed panem nieznajomym, ze stopni mego pokrewieństwa i stosunków familijnych...

— Przed nieznajomym?!.. — rzekł konsyliarz z smętnym wyrzutem—ja...ja sądziłem a raczej pochlebiałem sobie, że nie jestem dla niej tak całkiem obcym... że pani raczyłaś zwrócić na mnie uwagę już nie jeden raz, przy spotkaniu się naszem na Piaskowej górze, to u Żelaznej wody — to w lasku Węglińskim, gdzie niezmordowanie śledziłem za nią— a wreszcie i w teatrze na przedstawieniu Proroka, gdzie doskonale rozróżniałem w chórze statystek, piękność twą od innych...

Aliksa uśmiechnęła się z zadowoleniem.— Konsyliarz-emeryt uszczęśliwiony tym uśmiechem, zbliżył się do niej, i biorąc jej rękę rzekł z uczuciem młodzieńca: widzisz pani, że ty choć nieznajoma, nie jesteś wcale dla mnie obcą...i radbym z duszy, w czemkolwiek być jej pomocnym... czemże się zatrudniasz?..

— Kształcę się na artystkę sceniczną—pod kierunkiem i opieką mego brata...

— Na artystkę sceniczną? a to wybornie, doskonale — ale opieka i kierunek młodego studenta, czyż to pomoc dostateczna... wreszcie i mieszkanie nie bardzo odpowiednie... ja mógłbym nastręczyć inne dogodniejsze, w mej własnej kamienicy, jednej z najokazalszych w mieście!..

Aliksa milczała, na twarzy jej widna była radość, z lekkiem jednakże wahaniem się i wdzięcznością razem.

Konsyliarz-emeryt na ten widok, nie posiadając się z rozczulenia, ukląkł na jednem kolanie i przyciskając dłonią bijące serce, zawołał: powiedz tylko, rozkaż, a masz mnie u nóg swoich!.. i w uniesieniu począł śpiewać: *Zacnego będąc rodu — Piękna szesnaście lat Aliksę we Florencyi, uwielbiał cały świat...* gdy naraz mocne sztuknienie do drzwi przerwało rubasznie tę estetyczną i czułą scenę.

— Ktoś przychodzi! zawołała Aliksa przerażona, wstań pan proszę, błagam cię! ukryj się! — cóżby powiedziano, zastawszy cię w tej postawie przedemną?..

— To wskażże mi, gdzie się ukryć mam najpewniej — uczynię wszystko, żeby nie narażać twej dobrej sławy—twej spokojności mój aniele!.. i przy tych słowach wymawianych cicho a spiesznie konsyliarz-emeryt gramolił się, dopomagając sobie obiema rękami, aby powstać spiesznie z ziemi—lecz siły nie dopisywały. Aliksa podała mu laskę, i z pomocą tejże wsparłszy się jeszcze na dziewicy ramieniu, powstał przecież szczęśliwie — i bez wahania wsunął się do otwartej przez nią i wskazanej mu na migi ogromnej szafy, stojącej w rogu pokoju, którą ona zamknąwszy spiesznie na klucz, pobiegła drzwi otworzyć nowemu przybyszowi.

— A, pan profesor! rzekła, kłaniając się nizko i uprzejmie przed stojącym na progu panem Dudzińskim— z tem znowu zapytaniem: Czy zastałem pana Idygowicza?..

— Tak panie profesorze— jest, ale.. ale chory— odrzekła pomięszana Aliksa.

— Chory?.. a toż co mu się stało tak nagle— wszak dziś był u mnie zdrowiuteńki — odszedł z dobremi nadziejami— mówiliśmy wiele i o pani... dodał, patrząc znacząco na Aliksę pan Dudziński.

— O mnie? zapytała coraz więcej pomięszana i zapłoniona Aliksa— o mnie?.. cóż panowie mieliście mówić o mnie biednej sierocie?..

— Bardzo interesujące rzeczy mówiliśmy o pani — Alfred opowiedział mi wszystko otwarcie i szczerze: że pani jesteś siostrą jego, że byłaś zmuszoną ujść z domu niegodnego opiekuna, który cię prześladował—i chce wydrzeć wam majątek...

— Ach! ale pocóż brat mój rozgłasza to przed czasem, co w ścisłej pozostać miało tajemnicy!?.

— To, co powierzył przyjacielowi, nie jest wcale rozgłaszaniem...owszem, ja mogę państwu dopomódz dobrą radą— wyszukać poczciwego i życzliwego prawnika, który zająłby się szczerze waszą obroną i sprawą.... tu dziwne sztuknienie w szafie zwróciło na chwilę uwagę mówiącego— Aliksa spojrzawszy ukradkiem z największą obawą w tę stronę, posunęła krzesło z łoskotem, prosząc uprzejmie gościa aby usiadł.

— Bardzo dziękuję— mówił, siadając pan Dudziński i składając pismo złożone na stole—przyniosłem panu Alfredowi świadectwo poprawione nietylko przezemnie ale i przez mych kolegów— to zadosyćuczynienie należało mu się odemnie; bo-

mówiąc prawdę prześladowałem go trochę, i miałem w niesłusznem porozumieniu— no, ale to nie moja wina— bo pozory były przeciw niemu, nawet krewna jego bogata (zapomniałem jej nazwiska) oskarżała go przedemną i prosiła, abym koniec położył tej zawczesnej dowolności jego pod pewnym względem...

— Aliksa zaczerwieniła się znowu, krząkając i spuszczając oczy... a pan Dudziński patrząc z zachwyceniem na ten dowód dziewiczej skromności— powstał i zbliżając się do Aliksy, rzekł wzruszonym głosem, patrząc jej czule w oczy: a teraz i panią wypada mi przeprosić, za moje niewzględne i uchybiające może nawet z nią obejście, gdziekolwiek ją spotkałem— ale pani wiesz sama, w jakim byłem co do opinii o niej błędzie.. co nadal, pozwolisz mi pani naprawić szczerym szacunkiem i niekłamanem uczuciem... tu z głębi szafy słyszeć się dał powtórnie kaszel przytłumiony— i do drzwi zapukano znowu, z przeciągło-poważnem zapytaniem; „Czy tu jest mieszkanie pana Alfreda Indyko—Indygowicza“?

— Ach pozwól mi się pan ukryć — zawołała, błagając z złożonemi rękoma Aliksa pana Dudzińskiego, a przyjmij sam tę nadchodzącą panią; po jej odejściu wszystko panu wyjaśnię - i wbiegłszy do drugiego pokoju, zniknęła. Głos zaś za drzwiami widząc że nikt nie otwiera, powtórzył z niecierpliwieniem głośniej: „Czy jest tam kto“? Pan Dudziński na to powtórne wezwanie otworzył drzwi z uprzejmością, wpuszczając wchodzącą poważnie pannę Teresę, i wzrokiem szukającą kogoś po pokoju.

— Pan Indykowicz chory jest mocno, rzekł, kłaniając się pan Dudziński.

— Indygowicz — poprawiła go panna Teresa— wiem, że ma być chory bardzo niebezpiecznie, dlatego jedynie pan widzisz mnie tu przybywającą... może konsyliarz zdrowia? mający chorego w kuracyi?..

— Nie — ale dobry znajomy, przyszedłem go odwiedzić — i to mówiąc przyprowadził przybyłą do łoża chorego, który przebudził się właśnie, i w malignie począł wywoływać za koleją: dobre świadectwa — sierota opuszczony! — ciotka ukochana a tak nieczuła i oziębła — już jej nie zobaczę!.. ha! więzienie — lichwiarze łotry! grób, przepaść!.. przytem rzucał się na łóżku, to siadał, łamiąc rozpaczliwie ręce.

Panna Teresa blada i drżąca, stała przez chwilę nad jego łożem, kiwając głową z powątpiewaniem i smutkiem—nareszcie łzy spłynęły po jej licach; ona ocierając je, pobiegła do stolika i wziąwszy papier i pióro, nakreśliła kilka wyrazów i oddała kartkę stojącej przy drzwiach wchodowych przybyłej z nią starej słudze z tym rozkazem: „Maryanno! biegnij z tem czemprędzej do lekarza S. i proś, aby tu przybył niezwłocznie.— Maryanna odeszła, a panna Teresa zwracając się do pana Dudzińskiego, badała troskliwie o przyczynę choroby Alfreda — mówi w gorączce — wspomina o grobie, długach, więzieniu— obwinia ciotkę o nieczułość. — Boże! cóż to wszystko znaczy?.. ale tu widzę nie ma i świecy u tego biedaka... mówiła sama do siebie oglądając się, bo już zmrok zapadał— i znowu sztukanie do drzwi i kilka na raz wesołych głosów dały się słyszeć za drzwiami, których za odchodzącą Maryanną nikt na klucz nie zamknął — a więc otworzywszy je naoścież, weszło kilku młodych kolegów Alfreda, wołając na progu: „A cóż to Alfredzie, czy tu klasztór, że dziś tak cicho i ciemno u ciebie? — nie ma go widzę jeszcze — rzekł drugi; a gdzież Aliksa się obraca?.. wołał trzeci.

Za niemi chłopiec z cukierni wniósł na tacy wazę dymiącego pączu, ciasta i rząd szklanek ustawił na stole w pierwszym pokoju — a jeden z kolegów pozapalał świece.— Gdy panna Teresa i pan Dudziński pochyleni nad łożem chorego z szczerym udziałem, starali się go uspokoić — panna Teresa przyrzekała opiekować się nim na dal— i długi zaspokoić, które widno, że go nękają— a wreszcie przebaczyć i wybryczki niemoralności, aby się tylko z nich poprawił, itd.

Na te dowody czułości z jej strony, chory zerwał się nagle ze sofy, i rzuciwszy się do nóg panny Teresy, począł je ściskać tak serdecznie, że cotylko ją nie wywrócił— i gdyby nie uprzejma przytomność i pomoc pana Dudzińskiego, byłaby niezawodnie jak długa padła na podłogę—nareszcie rozśmiał się z całego gardła, a na ten sygnał wesołości, koledzy wbiegli chórem ze świecami w ręku, Aliksa wyszła też niespodzianie ze swego ukrycia,— i wszyscy otoczyli kołem pannę Teresę, wołając: niech żyje poczciwa i kochana ciotunia Alfreda! i z uniesieniem ściskając i całując jej ręce.— Panna Teresa odurzona i wystraszona tym krzykiem, a wreszcie nie będąc pewną, czy Alfred nie w napadzie chorobliwej waryacyi ściska ze śmiechem jej nogi, nakoniec pojawienie się jeszcze nienawistnej Aliksy, było powodem, iż przytkawszy sobie uszy obiema rękami, poczęła uciekać ku drzwiom—lecz tu całe grono młodzików rzuciło się przed nią, barykadując je sobą. —Alfred zaś z panną Aliksą wziąwszy szanowną ciotunię odeszłą prawie od przytomności pod ręce, poprowadzili z uszanowaniem i wygodnie posadzili ją na sofie.—Alfred zaś kłaniając się nizko, przemówił: Teraz kochana ciotunia dobrodziejka pozwoli, ażebym jej wyjaśnił tę zagadkę — najprzód więc przedstawiam mego zacnego profesora pana Dudzińskiego— to są koledzy moi podobnież jak ja

szanowni— a to... rzekł przeciągle...kładąc rękę na sercu, jest istota... do której moje szczęście i życie należy!... Panna Teresa struchlała i rzuciła się z oburzeniem na sofie — jest to ciągnął powoli, śmiech tłumiąc Alfred, Stanisław J. z Podola, słuchacz z 2go roku prawa, mój najgodniejszy przyjaciel, bez którego serca i kieszeni byłbym zmarniał istotnie, opuszczony przez szanowną ciotkę moją i sam sobie pozostawiony za to, że ś. p. jej siostrunia a matka moja, której pradziadem był kasztelan przemyślski, poważyła się poślubić pana Józefa Indykowicza, przez co ja ich potomek nazywam się także tak szkaradnie In-dy-ko-wicz...

— Indy-*go*-wicz, poprawiła z przyciskiem panna Teresa — zowiesz się Indy-*go*-wicz — i niedosyć, że śmiałeś pokazywać się z nią publicznie, (tu wskazała ręką, lecz oczy odwróciła od Aliksy, za co i ja zamknęłam me serce dla ciebie, chcąc cię skłonić do poprawy — a ty dziś jeszcze niegodny poważasz się udawać chorego i mnie starą tu sprowadzać po to żeby mi urągać zuchwale i z całą bezczelnością? łzy oburzenia niedozwoliły mówić jej dalej — powstała z powagą ze sofy, i nie czekając nawet powrotu sługi wysłanej po lekarza, chciała się oddalić— ale całe zuchwałe grono rzucając się przed nią na kolana, nie dopuściło tego, wołając: przebaczenia kochana ciociu — przebaczenia! to figiel Stasia, nie samego Alfreda— tu panna Aliksa zrzuciwszy w okamgnieniu swą czarną perukę, strojny Cachepegne, mantylkę i krenolinę, stanęła przed panną Teresą w postaci chorego młodzieńca w czarnej czamarce, z jasnym kręconym włosem, Stanisława J. znanego z wesołości i daru mistyfikacyi.

Pan Dudziński, który stojąc na boku, był niemym świadkiem całej tej ostatniej sceny — poznawszy w nim jednego z najpilniejszych swych dawnych uczniów, westchnął cicho i żałośnie, i pomyślał: „no, już ja się widzę nie ożenię! byłem pewny, że znajduję ideał, o jakim mógłem marzyć kiedykolwiek w swych wyobrażeniach o szczęściu małżeńskiem, a przytem dwadzieścia tysięcy wyprocesowane na niegodziwym opiekunie byłyby nie zaszkodziły... tymczasem wszystko się rozpłynęło jak banka mydlana!... Tu mocne sapanie wraz z lekkiem sztukaniem dało się słyszeć w szafie.

Och prawda — byłbym zapomniał, rzekł Stanisław o ostatniej niespodziance, i podbiegając wesoło, otworzył nagle drzwi do szafy, a z głębi jej wyszedł a raczej wyleciał jakby niechcący szanowny adorator panny Aliksy; — głosy podziwienia i śmiechu rozległy się po pokoju, a pan radca-emeryt mruknąwszy pod nosem: bodajeście djabła zjedli smarkacze! splunął tylko i pochwyciwszy swą laskę i cylinder, wyniósł się za drzwi, zapomniawszy nawet pokłonić się pannie Teresie a raczej może unikając jej wzroku.

Tu dopiero uprosiwszy ciotunię i pana Dudzińskiego, aby zasiedli z nimi do herbacianego stolika— młodzi towarzysze opowiadali wesoło o wielkim darze mistyfikacyi jaki Staś posiadał i wiele już osób w pole tym sposobem wyprowadził—przebrany w suknie niewieście, był zachwycającą dziewczyną — a umiejąc z tego korzystać, z jednych żartował jak z czułego staruszka-młodzieńca—drugich rzewnemi spojrzeniami i skromną minką bałamucił serca i skłaniał do swych celów jak pana Dudzińskiego do poprawienia egzaminów Alfreda— innych nakoniec, jak zatwardziałe i oziębłe ciotki do przychylności ku siostrzeńcowi i zapłaceniu małych dłużków, ażeby nie podpadł metampsichozie i z duszą i ciałem nie ujrzał się naraz w kozie.

— No, no— na ten jeden raz to uchodzi—odrzekła, grożąc mu panna Teresa — przyrzekłam i to przy świadkach, więc dotrzymać muszę—mój pradziad!!.. wreszcie uczynię to dla błogiej pamięci mej ukochanej siostry, której przyrzekłam przy śmierci, że mu będę matką— i wstając od stołu, dodała w końcu z ciężkiem westchnieniem: mój Boże! cóżby na to powiedział ś. p. kasztelan przemyski mój pradziad!..

## Z zapisków J. R.

młodego Krakowianina, ustępy o wojnie włoskiej 1859 r. niewoli we Francyi, i legionie cudzoziemskim w Algierze

(Ciąg dalszy).

*Konstantyna 31 grudnia 1861 r.*

W jednej z wązkich ulic Konstantyny, tego na stromej skale niekształtnie zbudowanego, i mnóstwa wiekiem i wojną w gruzy obróconych rzymskich pamiątek miasta, w ulicy zwanej: „rue de vingt-sisième régiment de ligne“, znajduje się skromny budynek francuzki, którego drugie piętro, przewyższa terasy w około stojących posępnych nizkich domów arabskich.

Słońce już od kilku zaszło godzin, w jego miejsce księżyc w trzeciej kwadrze przesuwając się zwolna po czystem, żadną niezmąconem chmurką, lazurowem tle południowego nieba, rzuca w ulice tysiące fantastycznych cieni. Cisza nocna zaległa wszędzie, ulice się wyludniły, i tylko tu i owdzie ujrzeć można cień długiej postaci w biały burnus owinionego araba, który melancholicznym krokiem błądząc w zakrętach, marzy o siódmym niebie, i złorzeczy Rumiom, których straże nocne na murach cytadeli nazwanej Kasbah, ponure „qui

vive“ sobie przesełając, łączą swój głos z szumem u ich stóp płynącego Rumelu.

Jakże tu noce są urocze! Dziś jednak mimo najpiękniejszej pogody, wiatr wschodni nadzwyczaj zimny, przechadzkę czyni niepodobną; — a więc przenieśmy się do otwartej bramy wyżej wspomnionego domu, potem po schodach aż na drugie piętro, pierwsze drzwi na lewo: mały pokoik, którego ściany w lilla obite, łóżko skromne;— dalej kominek z zegarem, którego wahadło mierzy czas, przerywając monotonną ciszę — nad kominkiem lustro—a naprzeciw ottomanka na której leży zmięty mundur z epaulletami podporucznika;— dwa okna z firankami perskiemi, przez które wciskają się promienie księżyca — dalej szafka z książkami, na ścianie kilka obrazów i map, pałasz, strzelba, para pistoletów, sztylet korsykański, posadzka pokryta dywanem arabskim, skórą hieny i szakala; z jednej strony kominka drzémie sokół wzięty w stepach Sahary, nastrzępiając chwilami pióra swych siwych skrzydeł, z drugiej klatka zielona mieszcząca w sobie kanarka, a na kanapie spoczywa pies gończy, rzucając baczny wzrok na każde poruszenie swego pana. Oto wszystkie ozdoby i meble—oto wszyscy współmieszkańcy. Nieład jaki tu panuje i gust oryginalny — każą się domyślać, że właściciel tego pokoiku jest bezżennym i żołnierzem — otóż i on właśnie, przy stoliku zarzuconym papierami, na wpół rozebrany, rozparty w dość wygodnym fotelu, na kolanach otwarty tom Dumasa „Les impressions de voyage“ a przed nim zaczęty list. Jednak zdaje się, że ani pisanie, ani lektura nie idzie, bo jego oczy ścigając ulatniające się kłęby dymu cygara, lub zwracając się przez okno na księżyc i gwiazdy, i wydobywające się z piersi długie westchnienie dowodzą, że jego myśli bujają gdzieś daleko po innej części świata, że tęsknota serce mu owiała.

* * *

Chronometr północ wskazuje. Uroczysty to moment, przejście jednego roku w drugi. Jeszcze jedna chwila— kilka uderzeń żelaza w spiż dzwonu, a w tyle za nami polegnie rok 1861— nowa gałęź odłączona ciosem wszystko niszczącego czasu, od drzewa naszego życia, — spadła z firmamentu gwiazda. I otóż!........ tylko jęk metalu wibrujący jeszcze w powietrzu, przedłuża go o kilka sekund — chcąc go niby połączyć, pojednać z dumnym i niewzruszonym następcą, który wskazując w obłokach przyszłość coraz młodszą i świeższą, i nadzieję z miłym i zawsze wdzięcznym uśmiechem na ustach, popycha tych wszystkich, co go przyjmują z oklaskami w objęcia czarownej ale niestałej a nawet fałszywej wiosny, ażeby złudzić jej ponętą lekkomyślnych i poważnych, i oszukawszy nakoniec, wepchnąć jednych w przepaść chłodnej zimy, a drugim pokazać ohydnym uśmiechem zmarszczoną twarz rzeczywistości.

Nie wiem, dlaczego od kilku lat, choć mimowolnie przejęty jakiemś uczuciem cześci— nielubię Nowego roku. Być może, że spoglądając w lustrze na zmarszczki mojego czoła, że dążąc z niecierpliwością do jakiegoś celu, lub nosząc w sercu rozwijające się pod wpływem świętych uczuć życzenia, widzę w nim tyrana igrającego ze swoją ofiarą;—jednak dzisiaj, jak zawsze przepędziwszy tę uroczystą chwilę z wami, myśl moja zatrzymuje się w okresie tych lubych, złotem w mem sercu zapisanych wyrazach: zdrowie, pomyślność, i znowu— zobaczenie wkrótce; — i jak zawsze tak i dziś hołduję przyszłości i z zupełnem przekonaniem jestem nadziejo-wiercą.

Bo czemże inaczej byłoby życie tak krótkie, którego niewyczerpane przyjemności mniej lub więcej lubimy? W cóżby się obróciły bez nadziei: miłość, wdzięczność, intelligencya— praca, nędza, choroba a nawet bogactwa?— w śmierć bądź fizyczną bądź moralną. Bo żyć bez nadziei, jestto nie żyć więcej. A więc żyjmy jak najdłużej, to jest: miejmy nadzieję aż do chwili, dopóki ten sam czas, którego niszczący polot świat z uroczystością co rok obchodzi — nie zażąda od nas ofiary swoich kaprysów.

* * *

*Obóz w Djebel-Onaeeh 15 marca 1862 r.*

„Już od 3 marca w obozie jesteśmy: przez kilka dni byliśmy zasypani w śniegach, o których obfitośc —nie znając gór atlasu, nikt dokładnego wyobrażenia mieć nie może.

„Po kilku dniach deszczu, który spadł w miesiącu grudniu, nadeszła tu wiosenna pogoda trwająca blisko 2 miesiące.

„Już w połowie stycznia drzewa migdałowe kwiatem się były okryły, i chociaż cała natura tym wczesnym powrotem wiosny się radowała, Koloniści i Arabowie smutnie potrząsali głową, przewidując głód i nędzę na rok przyszły, bo w Afryce jeżeli zima jest suchą, to w lecie gdy podczas 6 lub 7 miesięcy słońce tylko chyba chmurami gorącego piasku się zakrywa, co Simum przynosi z Sahary, źródła i strumienie już w kwietniu wysychają, a wtedy nie ma zbiorów, bo na polu wszystko się w popiół obraca. Przewidując więc klęskę, Arabowie wzywali proroka, Żydzi tarzali czoło w prochu błagając Jehowy, a Europejczykowie wysłali inżynierów i cały garnizon z Konstantyny, ażeby za pomocą kanałów i wodociągów, sprowadzić ze wzgórz sąsiednich wszystkie źródła do miasta i zaopatrzyć się w ten sposób w wodę potrzebną do zroszenia ogrodów

a nawet do picia, gdyż kopać studnie w tej skale na której stoi miasto, jest rzeczą niepodobną. Miałem tu przy tej okazyi sposobność widzieć coś bardzo zajmującego. W czasie suszy Mahometanie, ażeby wyjednać deszcz u proroka, niosą co dzień jednego z ich kapłanów nazwanych Marabu do rzeki, gdzie bez najmniejszego względu zanurzają go trzy razy, gdy tymczasem Żydzi chłostają na publicznym placu pierwszą lepszą kobietę złego życia.

„Nie wiem, czy prorok zlitował się nad nieszczęsnym Marabu, czy uszy Jehowy nie mogły znieść dłużej jęków pod rózgami wijącej się żydówki, —jednak zaledwie się roboty rozpoczęły, gdy jednego dnia niebo się zachmurzyło, i lekki deszczyk spadł w dolinach, gdy tymczasem w górach w naszym obozie, w przeciągu jednej nocy śnieg nas kompletnie zasypał, tak dalece, że dla braku żywności i komunikacyj, nasi ludzie przez 4 dni żywili się tylko na wpół upieczonem mięsem bydląt, któreśmy mieli z sobą w obozie.

„Przez kilka dni będąc na 1400 metrów nad powierzchnią morza, zimno nas dręczyło, którem jakoteż i śniegami przyparte hieny i szakale wyjąc z głodu po całych nocach, dziwny nam koncert dawały. “

*Konstantyna 12 kwietnia 1862.*

„Ostatni miesiąc zimy Wielkanocą się skończył. Nie wątpię, że ta w naszej Ojczyźnie tak miła epoka, od wszystkich w domu z radością powitaną została. — Co się mnie tyczy, mogę powiedzieć, żem o świętach prawie nie wiedział. W obozie bardzo jest mało różnicy między niedzielą a Wielkanocą, a nawet powszednim dniem. — W wielki poniedziałek ludzie pracowali jak zwykle. Całą uroczystością dla mnie była samotna przechadzka na koniu. Jest to najmilszą moją rozrywką. Do tego utrzymanie konia bardzo jest łatwem, gdyż za 150 a najwięcej 200 franków można tu mieć konia z czystej rasy arabskiej. Otóż często gdy melancholia mnie ogarnia, zamiast ją rozerwać w towarzystwie kolegów, znikam z obozu, i nie zważając na pogodę ani na godzinę, błądzę po okolicach. I nieraz, gdy uganiając po pustyni zamknę oczy, zdaje mi się, że biegnę w ojczyste strony. Już ucho mniema rozróżniać melodye znajomych dumek, którym wtórują szum Wisły, gwar lasów— już zdaje mi się, że oddycham aromem naszych łąk —już w dali błyszczą wieże Krakowa i jęk dzwonów, błądząc echem po równinach, kompletuje to złudzenie. — Już — już jestem w objęciach tych, co mi są drodzy, — gdy niespodzianie: gorący wiater dmuchnąwszy w koło mnie chmurą duszącego piasku rozpędza moje marzenia, przypominając mi, że nie w Polsce ale w stepach Afryki jestem. Wtedy, pragnąc ukoić żalem zbolałe serce, zwracam konia. Pełne instynktu zwierze, zdaje się pojmować myśl moję; bo przyspieszywszy kroku, bieży, od psa poprzedzony, w stronę, gdzie na piasczystej równinie, nad brzegiem wązkiego strumyka, czerwienią się w dali cegły domku otoczonego gaikiem wysmukłych palm i smętnych cyprysów. Tam mój Arab w zalotnych poskokach bieży powitać swych braci tabunu, gdy tymczasem pies niecierpliwy przeskoczywszy płot złożony z ogromnych aloesów i kaktusów, spieszy— się chciwy pieszczot 16-letniej Estelli, jedynej córki w obozach afrykańskich osiwiałego kapitana francuzkiego, — oznajmić przybycie gościa, który przerywa spokojność i ciszę tego pełnego czarów ustronia.

„Tam przy boku nimfy Oazy, z okiem jak lazur nieba afrykańskiego, przysłuchując się śpiewom słowika i pluskaniu fontanny, oddycham zapachem jaśminu i pomarańczy;—bo też tu nie ma złudzenia, a choć krótkiem jest szczęście, ale ono jest rzeczywistem. Słowa płyną, wyrazy łączą się w wieńce fantastycznych kwiatów, których kolorami są uczucia, gorące jak promienie słońca tropikowego, ich wonią są: wyznania sentymentalne, poetyzm, jak blade noce krajów południowych....

„Jednak sercu znowu się przykrzy, za ciasno duchowi na tym świecie, i.... w wasze objęcia; myśl od boku Estelli ucieka!

„I nareszcie w noc późną wracam do obozu, powtarzając urywki z pieśni o *ziemi naszej*, to znowu mrucząc półgłosem: „Smutnoż tu smutno bracia za Dunajem etc.“ — a w koło mnie monotonne śpiewy koczujących i nad trzodami czuwających Arabów; — dochodząc ucha, tęsknotę moję pomnażają. — Zazdroszczę im nieraz ich swobody, bo choć biedni, oddychają oni powietrzem ojczystej ziemi.

„Od dwóch dni jestem w Konstantynie a 18go t. m. idziemy do obozu pod l'Oued Dekri, gdzie pracując nad gościńcem, zostaniemy kilka tygodni.

„Mamy tu nowego kolegę polaka ze Lwowa, nazwiskiem Zylewicz. Był on oficerem w austryackiej artyleryi, wziął dymissyą. — Oprócz tego, znalazłem od paru dni kilku rodaków w batalionie. Niejaki sierżant Dombrowski, sierżant Stanek z Andrychowa w Galicyi. Wolski, dwóch braci Malczewskich z Poznania, ci ostatni z bardzo dobrych familij. Jeden Malczewski jest kapralem w mojej kompanii.“

Po więcej jak dwóchmiesięcznym pobycie w obozie pod L'oned Dekri, dostawszy rozkaz do

zmiany garnizonu, mój batalion udał się do Setif, 32 lieux od Konstantyny, a 57 od brzegów morza w głębi Afryki. Moja zaś kompania została przeznaczoną do Bordj bou-Ariridj 18 lieux dalej.

Nasz obóz pod l'Oued Dekri nie miał nic godnego wzmianki. Jest to ogromna płaszczyzna zamieszkana przez pokolenie zwane Abd-el Nouz. Jest to miniaturka Sahary z tą różnicą, że ziemia dość jest jeszcze urodzajną, ale bez drzew. — Średni stan ciepła był w czerwcu 51 stopni Raum: a 45 pod namiotem.

W Setif cudnem miasteczku założonem przez Francuzów, duch mój ożył na widok zielonych ogrodów i obfitych fontan zimnej jak lód wody. W czasie mego 3ch-dniowego tutaj pobytu, nie wyszedłem prawie z ogrodu łazienek, bogatego we wszystkie czary sztuki ludzkiej, i we wszystkie wdzięki natury południowej. W wilię mego wyjścia do Bordi b. Areridj, byłem tu świadkiem trudnej do opisania sceny. Ogień zajął się był w jednym namiocie arabskim, i w mgnieniu oka płomień gnany wiatrem południowym po suchych trawach i zielskach, i po stojących w blizkości brogach zboża i siana, pokrył nieprzejrzaną płaszczyznę potopem pożaru. Wszelka pomoc była bezskuteczną; mimo, że 2000 żołnierzy, drugie tyle kolonistów i hordy beduinów wyruszyły, ażeby utamować rozhukany element. Podziwiałem tu szczególniej Arabów, którzy jak lwy rozjuszone rzucali się w ogień, unosząc z niego dzieci i kobiety, to znów zdjąwszy burnusy i bijąc niemi po palącej się ziemi, to znów tarzając się po niej, ogień tłumili.

Niemniej ich fanatyzm religijny jawnie się dnia tego okazał, i tak: wielu z nich spoglądali z zimną krwią na swe spalone namioty, zboże a nawet owce mówiąc: „to było napisanem". Zbliżywszy się do kilku namiotów, które dziwnym przypadkiem wśród ognia nienaruszone zostały, gdy tymczasem w około na 20 kroków fale płomienia przeszły,— wyraziwszy moje podziwienie nad tem ich szczęściem, kobieta otoczona dziećmi, do której przemówiłem, podnosząc z powagą rękę do niebios „Rabbi" — za całą odpowiedź wyrzekła (Rabbi-bóg).

Bordj ben-Aretridj jest małą kolonią na terytorium wojskowem, t. j. że wszyscy mieszkańcy podlegają tu władzy wojskowej. Oprócz kilku oficerów z różnych pułków, którzy tu zastępują miejsce burmistrza, sędziego itd., jestem sam komendantem mojej kompanii— gdyż kapitan i porucznik są na urlopie we Francyi. Mieszkam w zamku bardzo starożytnym, wzniesionym z ruin rzymskich, których tu jest bardzo wiele— i nudzę się serdecznie. Klimat jest bardzo niezdrowym, febry i dysenterye panują epidemiczne, tak, że szpital iest przepełniony choremi Francuzami i Arabami.

(C. d. n.)

# RÓŻNE RZECZY.

## MODY.

*Rycina 1.* — Strój ślubny. Włosy w pukle karbowane a drugie obok, podniesione na skroniach — za uchem i pod uszami ,spadają we dwa rulony. Węzeł z trzema kokardami z nieplecionego szynionu ubiera tył głowy.— Welon tiulowy okrągło ścięty dołem —założony przez pół głowy, spada z tyłu nakształt płaszcza — wieniec w diadem z głogu i kwiatu pomarańczy — wstążka od niego idzie pod welon i spada na warkocz. — Suknia z materyi zwanej *gros d'Amerique* — stanik pod szyję, gładki, z małym szpicem z przodu i z tyłu — rękawy długie, spodnica gładka — tunika z tiulu, pokrywająca stanik także — i są u niej szerokie rękawy — tunika podpięta a raczej podciągniona sznurkiem i przepięta gerlandą z kwiatu pomarańczy połączoną z bukietem u pasa.

*Rycina 2.* — Kapelusz z bawoletem i rądkiem aksamitnem — korunka nakształt małego welonika pokrywa go — na wierzchu dwa białe pióra. Pod spodem wśród neżki róża. Szarfy aksamitne — Suknia aksamitna, stanik z małą żuawką, w kształcie kaftaniczka z przodu — z tyłu zaś bardzo kólisty z korunkami odwracanemi. Rękawy żuawki z końcami — spódnica gładka — stanik i rękawy ubrane korunkami — spódnica także z przodu — a do korunki mięszana i tafta krajana.

**Nadesłane.**— We wsi Ostrów Szlachecki (w parafii Rzezawa, powiecie Bocheńskim) majętności państwa H. Komarów, w miesiącu Październiku b. r. powstał niespodzianie ogień we dworze. Na odgłos dzwonka alarmowego w dziedzińcu, gmina wsi wiejska zbiegła się natychmiast, i gorliwemu jej ratunkowi właściciele podziękować mają, iż pożar został przytłumiony, i skończył się na wypaleniu sufitów w 3ch pokojach. Przy wynoszeniu rzeczy, jedna kobieta wiejska znalazła w dziedzińcu na ziemi pudełko, z markami od kart, i mimo przekonania, że to są dukaty szczero-złote, oddała je zaraz właścicielowi.—Już to poczciwość gminy Ostrów Szlachecki jak i sąsiedniej jej Zatockiej od smętnej pamięci roku 1846 — dobrze nam jest znana i w sercach zapisana!

**Treść Nru 2igo.** — *O cierpieniach* przez Ludwikę z Myślenic. — *Z Poznańskiego* (peezya). — *Biała figura* przez Krystynę L. (powieść). — *Korespondencya Tomasza Zana.* — *Mistyfikacya sceny z życia studenckiego* (powieść).— *Z zapisków J. R. młodego Krakowianina, ustępy o wojnie włoskiej 1859 r.*— *Różne rzeczy: Wytłumaczenie mód.*

GOCZAŁKOWSKA JULIA Redakt. odpowiedz. — Nakład Redakcyi.— Druk „Czasu" —Rząd. drukarni ANT. ROTHER.